

Opowiadanie zawiera treści przeznaczone dla osób dorosłych (+18) i mogące być uznane za kontrowersyjne – w tym graficzne opisy scen seksu pomiędzy mężczyznami oraz przemocy, a także wulgarne słownictwo.

Adres bloga, z którego pochodzi opowiadanie:

<https://texas-brothers.blogspot.com/>

„Life is Cheap” to bezpośrednia kontynuacja opowiadania „Texas Brothers”

Rozdział 1

Ściany korytarza starego budynku należącego do miejskiej pomocy społecznej obwieszane były tablicami korkowymi oraz kolorowymi plakatami. Sasza przystanął i przeczytał parę ogłoszeń przybitych szpilkami. Więc teraz nie mówiono, aby nie ćpać, tylko aby robić to bezpiecznie, pomyślał z kpiną. Przestrzegano przed używaniem zwiniętych banknotów do wciągania kryształów, bo niosło to ze sobą zagrożenie zarażeniem się żółtaczką. Do tablicy była też przypięta lista punktów, gdzie za darmo można było odebrać testy do szybkiego zbadania poziomu zanieczyszczenia narkotyków.

– Jakież szaleństwo – mruknął.

Spojrzął jeszcze raz na zmięty świstek, który trzymał w dłoni i ruszył dalej, wzdłuż długiego korytarza, rozglądając się przy tym na boki, by nie minąć sali z właściwym numerem. Męski, niski głos był dobrze słyszalny nawet przez zamknięte drzwi. Mężczyzna opowiadał o niesprawiedliwości, jaka go spotkała – był czysty już pół roku, a ta cipa, jego żona, dalej nie chciała pozwolić na spotkanie z dziećmi. Może sąd odebrał mu opiekę rodzicielską, ale on przecież swoje prawa miał, co nie? Może kiedyś zdarzyło mu się uderzyć, gdy był pijany, ale on tylko człowiekiem był w końcu.

Ludzie zebrani w sali nagrodzili jego wypowiedź gromkimi brawami, a Sasza jeszcze bardziej nie chciał tam wchodzić. Nie mógł uwierzyć, że jego matka została przewodniczącą klubu anonimowych alkoholików. Gdy był dzieckiem, nigdy nie próbowała rzucić nałogu, a zarządzać nie potrafiła nawet własnym życiem. Uznał jednak, że powinien przynajmniej się przekonać, jak to wyglądało naprawdę. W końcu ponoć ludzie się zmieniają, choć nie wszyscy.

– Nie myśl o nim – upomniał się po raz tysięczny i otworzył drzwi.

Sesja właśnie się skończyła i ludzie wstawali z krzeseł ustawionych w okrąg. Drobna kobieta w krótko ściętych i bardzo rudych, trochę wręcz pomarańczowych włosach, rozdawała im jakieś kartki. To ona pierwsza zauważyła Saszę stojącego w drzwiach. Przez moment jej mina była dość niewyraźna, ale zaraz uśmiechnęła się ciepło.

– Sesja już skończona – powiedziała – ale jutro zapraszamy na osiemnastą. Może pan też zadzwonić na nasz anonimowy telefon zaufania. Numer jest...

Kobieta nagle urwała i zasłoniła usta bardzo szczupłą, żyłastą dłonią. Kilka kartek wysunęło jej się z drugiej ręki i poleciało na podłogę.

– Sasza – powiedziała, nie dowierając. – To ty, Sasza, naprawdę? To ty?

Kiwnął potwierdzająco głową. Czuł wzbierające w nim emocje, o dziwo pozytywne. Matka była mała i bardzo szczupła jak kartka papieru, którą trzymała teraz w dłoni, dokładnie tak, jak ją zapamiętał, ale niebieski, kaszmirowy sweter pięknie podkreślał jej oczy okolone dokładnie pomalowanymi rzęsami. Tylko zbyt głębokie zmarszczki jak na jej wiek ją zdradzały. Wyglądała bardzo dobrze. Myślał, że będzie wściekły, gdy ją taką ujrzy. Piła przez całe jego dzieciństwo, a gdy odszedł, nagle postanowiła naprawić swoje życie. Porzucić nałóg, nałożyć pastelowy sweterek i klepać ćpunów po pleckach. Nie czuł jednak złości ani rozgoryczenia, mimo że ta kobieta zniszczyła mu życie. Od miesięcy nie był tak szczęśliwy. Miał nadzieję, że tym razem to nie pryśnie jak bańka mydlana.

– Mamo – jęknął. Gdy zasłonił dłonią oczy, poczuł wilgoć na palcach. – Mamo, wróciłem.

– Tak. – Kobieta podeszła do niego i objęła go z całych sił.

Odsunęli się od siebie, przypominając sobie, że nie są przecież sami, dopiero gdy zebrane osoby zaczęły klaskać.

– Więc to twój syn, Susanne? Podobny, też taki patyczak. – Zaśmiał się ktoś.

– Kolejny mały cud na naszej grupie życiowych przegranych. No, zostawmy ich samych – powiedział ktoś inny.

Ludzie klepali ich przyjaźnie, gdy opuszczali salę. Niektórzy pokazywali kciuki uniesione w górę. Sasza dopiero teraz poczuł zawstydzenie.

– Tyle lat... Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

Teraz to Susanne się rozkleiła. Skrzyżowała ręce na piersi i chwyciła się za kościste barki.

– To wszystko moja wina – przyznała.

– Nie, mamo, nie. – Sasza chwycił ją za ramiona i popatrzył prosto w oczy. – To już nieważne. Teraz jest nasz nowy początek.

Kobieta uśmiechnęła się i pokiwała głową. Obtarła jeden policzek z łez.

– Dziękuję, Saszo. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam wypowiedzieć twoje imię. – Zaśmiała się skrzepowana. – Ale ty... Potrzebujesz pomocy?

– Nie, mam. Jestem czysty od czterech lat. Jest jednak coś...

– Co? – zaniepokoiła się kobieta.

Sasza uśmiechnął się szeroko.

– Jestem strasznie głodny.

Susanne odetchnęła z ulgą, a potem klepnęła syna w ramię.

– Och, ty! – Zaśmiała się. – To dobrze się składa, bo dzisiaj mamy *barbecue*.

– My? – podchwycił Sasza.

– Znaczący... – zmieszana się kobieta. – Mieszkam z kimś. Ma na imię Greg. Poznaliśmy się tutaj. On nie pije już dwadzieścia pięć lat...

– Nie musisz się tłumaczyć – wszedł jej w słowo. – Wszystko jest dobrze. Cieszę się, że nie jesteś sama.

Matka Saszy miała pod budynkiem zaparkowany samochód, starego Mercury'ego Mystique, więc mogli odebrać bagaże chłopaka z dworcowej skrytki. Była to tylko jedna torba i futerał z gitarą. Zabrał ją z mieszkania Santy Boy'a w przyływie furii, gdy się pakował. To była stara gitara elektryczna, jeszcze z lat siedemdziesiątych. Nosila na sobie wiele znaków czasu. Była porysowana, miała skrzywiony gryf i lakier odprysnięty w wielu miejscach. Latami leżała w szafie razem z winylami High Death, które Sasza po znalezieniu powiesił na ścianie. Gitara pewnie nic nie znaczyła dla Santy, jak wszystko inne zresztą, więc zabranie jej to był godny politowania gest. Odesłanie jej teraz byłoby jeszcze bardziej żalosne tak samo, jak i wożenie jej ze sobą. Powinien po prostu wywalić ją na śmietnik, kilka razy nawet się do tego przymierzał. Trzymał ją nad otwartym kontenerem, aż nie zdrętwiały mu ręce, ale za każdym razem rezygnował. Nie wmawiał sobie, że nie mógł wyrzucić na śmietnik czegoś wartościowego. Chciał zachować coś, co łączyło go z Santą Boy'em i to było takie żalosne. Nie potrafił się od niego uwolnić, a może wcale tego nie chciał.

Susanne i jej chłopak mieszkali na drugim piętrze typowej, szeregowej kamienicy. Kolejne, wysokie, ale wąskie budynki stykały się ścianami, a z przodu był tylko mały trawniczek z pojedynczym drzewkiem. Nie było tu wiele przestrzeni, a o

garażu nie mogło być mowy. Zaparkowali na ulicy i zabrali bagaże Saszy z tylnego siedzenia. Chłopak obawiał się spotkania z nowym partnerem matki. Jeśli mężczyzna każe mu się wynosić, nie miał pojęcia, gdzie się podzieje. W ogóle nie miał pomysłu na swoje życie.

– Może jeszcze spać, bo miał dzisiaj nockę – poinformowała Susanne, gdy wchodzili do domu.

Tak jednak nie było. Zastali mężczyznę w kuchni, mieszającego na kuchence sos do *barbecue*. Pokrojona już wołowina leżała na stole. Greg był postawnym mężczyzną o ciemnej karnacji i niemal całkowicie siwych włosach zaczesanych w krótką kitkę. Kilkudniowy zarost błyszczał na jego poprzecinanych bruzdami policzkach, a ramię szpecił błąd z czasów młodości – wyblakły tatuaż przedstawiający nagą kobietę.

– Cześć, kochanie – przywitała się Susanne.

– Witaj, żabciu. – Greg odwrócił się i uśmiechnął ciepło do kobiety. Na nosie miał druciane okulary. – A to któż taki? Znowu robisz z naszego domu przytułek?

– Greg – upomniała go kobieta.

Mężczyzna podszedł do niej i pocałował w policzek.

– No co? Przecież nie kłamię. I nie mówię, że to źle. – Wyciągnął do nieznanego dłoni. – Cześć, jestem Greg Bennington.

– Sasza.

– Ten Sasza?

Greg spojrzał pytająco na swoją partnerkę, a ta pokiwała potwierdzająco głową, zagryzając przy tym dolną wargę. Nie chciała znów się rozkleić. Sasza sapnął zaskoczony, gdy mężczyzna mocno go uściskał.

– W takim razie witaj w rodzinie. Następnym razem do podkarmienia. – Zaśmiał się Greg.

Sasza uśmiechnął się lekko. Był trochę speszony otwartością mężczyzny, uderzyło też w niego to, że znowu schudł w ciągu ostatnich miesięcy. Od dziecka był bardzo chudy, kościsty wręcz. Nigdy nie chciał jeść, bo po prostu nie miał ochoty. Nie czuł takiej potrzeby. Przytył w ostatnich latach przez Santę Boy'a. Najpierw jadł, bo się go bał, a potem, aby go uszczęśliwić. Przez niego też rzucił narkotyki i poszedł do

pracy. Całe jego życie kręciło się wokół tego dupka. Nie miał pojęcia, co miał teraz zrobić i jak żyć, a przede wszystkim po co. Santa Boy za to na pewno nie miał takich rozterek. Gwiazda może istnieć bez planety, ale planeta nie może bez swojego Słońca.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Susanne, gdy jej syn nagle ucichł.

– Nie, nie. – Sasza uśmiechnął się słabo. – Po prostu jestem zmęczony podróżą i trochę głodny.

– A, to się dobrze składa. Wszystko już prawie gotowe – oznajmił wesoło Greg.
– Trzeba jeszcze ponabijać szaszłyki i możemy zaczynać.

Grillowali na małym podwórku z tyłu domu. Stał tam też plastikowy stolik z parasolem i kilka składanych krzeseł. To nie był czas na poważne rozmowy, z czego Sasza bardzo się cieszył. Mrożona herbata, bo w domu Susanne i Grega nie było alkoholu, i wieczorne słońce rozluźniło go trochę. Chciał po prostu cieszyć się z towarzystwa matki oraz ze szaszłyków z cebulą, tymiankiem, koperkiem i papryką, które dzięki Gregowi smakowały jak danie z pierwszorzędnej restauracji.

– Hej, zauważyłem futerał na gitarę. Jaki to model? – spytał w pewnym momencie mężczyzna. – Kiedyś trochę grywałem.

– Gibson Marauder z lat siedemdziesiątych – odparł Sasza i poszedł po gitarę. – To już bardziej zabytek niż instrument.

Podał gitarę Gregowi, a ten obejrzał ją od góry do dołu z zachwytem w oczach i może pewnym sentymentem, a potem uderzył parę razy w struny.

– Gdy byłem na moim pierwszym koncercie w życiu, na Kissach, to Paul Stanley rozwalił na scenie dokładnie taką samą gitarę. Byłem zszokowany, bo ja byłem wtedy nastolatkiem pracującym w myjni samochodowej i na taką gitarę musiałbym pracować z rok, a on tak po prostu ją roztrzaskał. Ale to taka magia szalonych rockandrollowców. Robią za nas to, na co nigdy byśmy się nie zdecydowali. Są szaleni za nas, a my możemy popatrzeć na to z zadowoleniem i wrócić do naszego statecznego życia. Grasz może w jakimś zespole?

– Kiedyś, trochę. – Sasza wzruszył ramionami. – Chcę ją sprzedać.

– Naprawdę? – Greg obrócił gitarę w dłoniach. – To piękna pamiątka.

– Nie powiedziałbym – mruknął Sasza i napił się z papierowego kubka. Chciałby po prostu iść spać, a jutro obudzić się bez tych wspomnień.

– Mówiłeś coś? – spytał mężczyzna, unosząc głowę znad gitary.

– Nic takiego. Potrzebuję pieniędzy na życie, więc ją sprzedam.

Następnego dnia udał się do lombardu, o którym powiedziała mu matka. W środku ze wszystkich stron zaatakowały go niezliczone lampy, porcelanowe filiżanki, kolekcjonerskie łyżeczki oraz monety. Były też stare meble lub takie stylizowane na pochodzące sprzed dziesięcioleci. Sasza nie umiał ich odróżnić. Następne pomieszczenie było już znacznie bardziej stonowane. Stały tam gabloty z biżuterią, a na ścianach wisiały różnorakie miecze, szable, pistolety, wiatrówki i gitary. Młoda blondynka w koszulce z logo sklepu wstała z krzesła i uśmiechnęła się do niego promiennie, błyskając aparatem na zęby.

– Och, dzień dobry. Z gitarą? – spytała, patrząc na futerał, który niósł Sasza. – To do szefa. Panie Brown!

Po dłuższej chwili zza czerwonej kurtyny ukrywającej wewnątrz zaplecza wyłonił się mocno łysiejący mężczyzna z poważną nadwagą.

– No pokaż, co tam masz – powiedział, nawet nie patrząc na Saszę, ani się nie witając.

Chłopak położył futerał na ladzie, by wyciągnąć instrument, ale właściciel lombardu strzepnął jego dłonie i sam to zrobił.

– Pięćdziesiąt dolarów – powiedział po pobieżnym przyglądnięciu się.

– Słucham? – nie dowierzał Sasza. – To Gibson z siedemdziesiątego ósmego, a pan chce mi dać pięćdziesiąt dolarów?

– I to tylko z łaski – odparł mężczyzna. – Jest zakatowana, to śmieć w takim stanie. Nie nadaje się ani do grania, ani do zawieszenia na ścianie. Kupi ją tylko ktoś na części, jeśli coś tam jeszcze nadaje się do użytku. Pięćdziesiąt dolców i ani centa więcej.

– Takie gitary idą za tysiące na aukcjach – sprzeciwił się Sasza.

– Owszem, jeśli są w doskonałym w stanie lub jeśli grał na nich ktoś sławny. – Właściciel lombardu uniósł grubą brew w kpiącym geście. – Więc słucham. Slash? Kurt Cobain? A może Santa Boy? Nie? To bierz ten złom albo pięćdziesiąt dolców i nie zajmuj mi więcej czasu.

Mężczyzna wcisnął w ręce milczącego Saszy gitarę i się oddalił. Chłopak popatrzył na nią i sapnął sfrustrowany. Gburowaty właściciel lombardu nie miał pojęcia, że trafił w sam środek tarczy. Sasza potrzebował pieniędzy i jeszcze więcej pieniędzy. Nie miał pracy ani samochodu, a nie mógł żerować na matce. Nie chciał nigdy więcej pozwolić na uzależnienie swojego życia od kogoś. Nie chciał być znów żaloszny, ale czym byłoby wzbogacenie się na sławie faceta, który cię zdradził?

– Zgadza się. To gitara Santy Boy'a – powiedział jednak i położył instrument na ladzie. – Dalej jest warta pięćdziesiąt dolców?

Mężczyzna odwrócił się z powrotem i jeszcze raz spojrzęła na gitarę, a potem na Saszę.

– I teraz mi to niby mówisz? – zakpił, nie wierząc. – A gdzie dowód? Autografu nie ma.

– Zdjęcie? W Internecie na pewno jest jakieś, jak na niej gra.

– I co? Mam je sobie niby sam znaleźć? – prychnął mężczyzna. – I życzę powodzenia w znalezieniu takiego zbliżenia, żeby bez żadnych wątpliwości można było stwierdzić, że to właśnie Santa Boy brzdąkał na tej gitarze w kokainowym uniesieniu.

Sasza nic nie odpyskował, chociaż miał wielką ochotę, wyciągnął za to telefon z kieszeni spodni. Właściciel lombardu przyglądał mu się przez cały czas z ramionami zaplecionymi na masywnej klatce piersiowej. Sasza denerwował się, bo nienawidził, jak ktoś się na niego gapił, gdy próbował coś zrobić. Kolejne hasła wpisane w Google nic nie dały, bo żadne z wyświetlonych zdjęć nie miało odpowiedniej jakości i zbliżenia, w końcu były zrobione w latach dziewięćdziesiątych.

– Czyli że nic?

Chłopak zignorował mężczyznę, bo coś mu właśnie zaświtało. Widział tę gitarę już wcześniej na zdjęciu wraz ze szczegółowym opisem. Jak mógł o tym zapomnieć?

– Do pierwszej kasety High Death, dema, dołączona była mała książeczka przedstawiająca zespół. I tam był ta gitara.

– I? – Właściciel wybałuszył oczy. – Gdzie ona jest, bo jakoś jej nie widzę? Te dzieciaki, tylko kasy by chciały najlepiej za nic!

Spod lady wyciągnął telefon, chwycił za słuchawkę i wykręcił numer. Musiał czekać na połączenie, więc wykorzystał ten czas na topienie Saszy dezaprobującym spojrzeniem.

– Tony? Zajęty jesteś? A bo mam tu takiego dzieciaka... No... Przyniósł mi jakiegoś grata i mówi, że to gitara Santy Boy'a z początków High Death. Podobno do kasety demo była dołączona jakaś książeczka ze zdjęciem tej gitary... Wiem, że ją masz, po to dzwonię. I wiem, że masz tam wielki burdel... Znajdź ją, to od razu sprawdzisz gitarę... No, odpalę ci coś jak zwykle... A, i nie zabieraj tego ze sobą.

Odłożył słuchawkę z trzaskiem i usiadł na krzeselku za ladą.

– Czekamy – powiedział do Saszy i wyciągnął gazetę.

Chłopak rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nie znalazł niczego do siedzenia. Oparł się więc o oszkloną gablotę z pierścionkami. Dopiero po trzech kwadransach do sklepu weszło dwóch mężczyzn. Jeden był wzrostu Saszy, z długimi falowanymi włosami w kolorze ciemnego brązu. Jego broda miała kolor kilka tonów ciemniejszy i była zapleciona w dwa cienkie warkoczyki. Pomimo grubych brwi, lekko haczykowatego nosa i podłużnego kształtu twarz mężczyzny sprawiała dość przyjemne wrażenie. Za nim szedł wyższy i wyglądający na parę lat młodszego Latynos z burzą spiralnie skręconych włosów na głowie. Uwagę przyciągały jego poszarpane džinsy przyozdobione wieloma napami w kształcie gwiazd i cekinami.

– Tony, mówiłem, żebyś nie przyprowadzał tej ślepej ścieżki ewolucji.

– Jeśli ja jestem ślepą ścieżką, to ty całą autostradą, stary spaślaku – odgryzł się Latynos. Jego złote bransolety zabrzęczały, gdy poprawił włosy.

– Obaj dajcie spokój – mruknął drugi z przybyłych mężczyzn znużonym głosem, jakby robił to po raz tysięczny w życiu. – To ta gitara?

Podszedł do lady i przyjrzał się instrumentowi. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął pudełko kasety, w której rzeczywiście schowana była mała książeczka. Znalazł odpowiednie zdjęcie, aby porównać szczegóły obu gitar. Z każdą mijającą sekundą Sasza czuł rosnące napięcie.

– Tak, to ona – orzekł mężczyzna. – Gibson Marauder, pierwsza gitara Santy Boy'a. Nagrał na niej demo i pierwszą płytę, później przerzucił się na nowszy sprzęt,

choć wciąż okazjonalnie używał jej na koncertach. Jim, możesz nieźle zarobić na niej. Jeśli działa, oczywiście.

Właściciel lombardu już o wiele bardziej zainteresowany schylił się, aby podnieść z podłogi mały wzmacniacz i położyć go na ladzie. Już po chwili w pomieszczeniu rozbrzmiała seria przeraźliwych skrzypnięć.

– Totalnie rozstrojona, ale wydaje się w porządku – orzekł Tony.

– No to ci się udało, dzieciaku – właściciel zwrócił się do Saszy. – Pięćset dolarów w takim wypadku.

– Co?! – oburzył się chłopak. – Pół tysiąca za gitarę Santa Boy'a? Sam mówiłeś, że to legenda!

– Ale żywa – prychnął mężczyzna. – Do tego gitara jest mocno zniszczona. Nie wiem, czy uda mi się ją sprzedać bez renowacji, która dużo kosztuje. Tony lubi sobie policzyć. Ale jak ci nie pasuje, to możesz ją wziąć i poczekać, aż Santa Boy się przekreśli. Wtedy będzie warta ze sto tysięcy. Oczywiście, aż ludzie o nim nie zapomną. To jak?

Sasza czerwieniał coraz bardziej z każdym słowem mężczyzny.

– Jak możesz mówić takie rzeczy?! – zdenerwował się. – Jak się przekreśli?! Jak on się przekreśli, to ciebie już dawno będą gryzły robaki kilka metrów pod ziemią, wredny spaślaku.

Właściciel lombardu aż się zapowietrzył, a zmarszczki wściekłości przecięły jego twarz. Nie zdążył jednak wybuchnąć, bo milczący dotąd Latynos zagwizdał przeciągle i objął zaskoczonego Saszę ramieniem.

– No, proszę. Wiedziałem, że to taka akcja. Tony – zwrócił się do swojego towarzysza – zrób coś.

Mężczyzna westchnął, ale jednak zwrócił się do właściciela lombardu:

– Jim, widzisz, że to nie żaden zawodowiec, tylko dzieciak w schodzonych trampkach, któremu przyda się kasa. Tę gitarę sprzedasz za kilka kawałków na pniu, bo Santa Boy znów jest teraz na fali. Zapłać mu uczciwie, odmaluję ci tę gitarę po kosztach.

Mężczyzna fuknął i obrzucił niechętnym spojrzeniem Saszę wraz z uczepionym do niego Latynosem, który uśmiechnął się szeroko, żeby jeszcze bardziej zirytować mężczyznę.

– Cztery tysiące i ani centa więcej.

Po kolejnym kwadransie stał już przed sklepem z pustym futerałem i plikiem pieniędzy. Cztery tysiące w gotówce prezentowały się bardzo mizernie. Zamyślony nie zauważył Latynosa, który stał w cieniu rzucanym przez zadaszenie wejścia do sklepu spożywczego obok i palił elektronicznego papierosa.

– Hej, czekałem na ciebie – zawołał i się zbliżył. – Jestem Marcio.

– Sasza. Coś się stało?

– W sumie to nie – odparł Latynos wesołym głosem. – Jesteś nowy w naszej miejscinie, prawda? Pewnie nie znasz za wielu osób. Jeszcze ta sprawa z Santa...

– To nie twoja sprawa – wszedł mu w słowo Sasza. – A teraz przepraszam. Pewnie chciałbyś coś usłyszeć o moim gorącym romansie z nim, ale to był ostatni raz, gdy wypowiedziałem jego imię.

W sklepie kupił jeszcze lokalną gazetę i wrócił do domu. Mama oraz Greg, który był ratownikiem medycznym, wyszli rano do pracy, więc miał cały dzień tylko dla siebie. Portfel z czterema tysiącami rzucił na biurko w swoim pokoju, a sam położył się na łóżku. Gdy był dzieckiem, ukrywał pieniądze w coraz dziwniejszych miejscach, bo matka prędzej czy później znalazła każdą jego kryjówkę. Teraz nie musiał już tego robić. Wcisnął twarz w poduszkę i zamknął na chwilę oczy. Może był głupi, ale czuł się źle z tym, że sprzedał gitarę za marne cztery tysiące. Kurzyła się w szafie, ale Sasza sądził, że wiele znaczyła dla tego człowieka, mimo że pewnie *on* nawet przed sobą się do tego nie przyznał.

– Jestem idiotą – mruknął i przewrócił się na plecy.

Sięgnął po gazetę i otworzył ją na ostatniej stronie, czyli na dziale z ogłoszeniami drobnymi. Nadal można było znaleźć tam oferty prac dorywczych, a tego właśnie szukał Sasza – zajęcia na już. Później zaczął się zastanawiać, co chce zrobić z resztą swojego życia. Skrzywił się, gdy jego wzrok padł na duże, kolorowe ogłoszenie nowo otwartego *fast-foodu*. Nie chciał pracować więcej na kasie i użerać

się z ludźmi. Opary przepalonego tłuszczu, w których musiałby przebywać, też nie zachęcały, ale pewnie mógłby szybko awansować, jeśli tylko by się trochę przyłożył. Mimowolnie zaśmiał się pod nosem na wspomnienie wywodu *tego człowieka* o McDonalddie.

– Boże, boże, boże – jęknął, przyciskając gazetę do twarzy.

Chciał o nim zapomnieć, a jednocześnie bał się tego. Wspomnienia jednak nie blakły. Czuł, że będzie musiał zatopić się w kimś innym, aby zapomnieć, ale nie robił nic w tym kierunku. Nie szukał i nie dawał się znaleźć.

Gdy się budził, miał przed oczami pokrytą kroplami potu i poprzecinaną płytkimi zmarszczkami twarz *mężczyzny*. Jego zlepione lakierem włosy z lekkimi odrostami spadały mu na czoło, a szpiczaste uszy były zaczerwienione. Odwracał wzrok, ale jego oczy tylko podążały wzdłuż *jego szyi* z wyraźnie odznaczającą się grdyką, wytatuowanej klatki piersiowej pokrytej kręconymi włosami, aż do tego miejsca, gdzie byli połączeni. Sięgał tam dłonią i rzeczywistość rozbudzała go zupełnie. I tak każdego dnia.

Obsunął dłonie dotąd ściskające gazetę z twarzy na klatkę piersiową. Czuł podniecenie, ale nie zamierzał nic zrobić. Nie z *nim* kierującym jego dłońmi. Przeleżał tak dłuższą chwilę bez ruchu, aż w końcu znów spojrzął na ogłoszenia. Żadne nie wydawało się odpowiednie. Nie posiadał typowo samczych umiejętności jak obsługa spawarki lub lutownicy. Przez uzależnienie ta część jego młodości, w której powinien nauczyć się radzić sobie w życiu, została stracona. Sapnął z rezygnacją, miał się już poddać, ale w oczy rzuciło mu się jedno z mniejszych ogłoszeń. Pomoc w warsztacie złotej rączki, doświadczenie niepotrzebne, głównie segregacja i czyszczenie. Zadzwoił i po kilku sygnałach usłyszał w aparacie znajomy głos. To był Tony, który pomógł mu dzisiaj wyjść z lombardu tego grubego dupka bogatszym o cztery tysiące dolarów.

– Tak?

– Dzień dobry – odparł Sasza. Początkowo chciał się rozłączyć, ale potrzebował tej pracy. – Dzwonię w sprawie ogłoszenia. Czy to jeszcze aktualne?

– Ach, tak, tak. Aktualne – odparł Tony, który najwyraźniej nie rozpoznał głosu Saszy. – Jeśli nie masz uczulenia na kurz, a masz dryg do segregacji i dużo

cierpliwości, to zapraszam jutro do mojego warsztatu. Adres jest w ogłoszeniu. Pracuję do dwudziestej.

– Dobrze, przyjdę przed południem, jeśli to nie problem.

Odłożył telefon i przekręcił się na bok. Gdy przymknął oczy, obraz *jego* twarzy zbladł lekko na rzecz spokojnego uśmiechu Tony'ego, naprawiacza gitar i najwyraźniej dobrego człowieka.